

Marek Hłasko i moje wspomnienia wokół pewnego autografu z kawałem

Oczywiście mogłabym tego nie opisywać tak dokładnie, jak zamierzam, zresztą i tak postaram się streszczać, ale historia o tym, jak książka z autografem Marka Hłasko znalazła się w moim posiadaniu sama w sobie jest ciekawa, więc spiszę ją także trochę dla siebie. Dowcip jest taki:

Moniek pożycz 50 zł.

- Od kogo?

Pod nim dedykacja:

Pani Kapczyńskiej Jadwidze ---

Z pozdrowieniami ---

Marek Hłasko

29. V. 65

Moje pierwsze podejście do literatury Marka Hłasko było niewypałem. To było wiosną 1974 roku. Mieszkałam wtedy w Warszawie (jestem krakowianką) przy ulicy Marymonckiej (po krótkim mieszkaniu przy ul. Sempołowskiej o krok od placu Zbawiciela, mój mąż był - wtedy [1]- sportowcem Legii i stąd w tamtych czasach mieliśmy swoje mieszkanie).

Przyjaźniłam się wtedy z dziewczyną, która znała Iredyńskiego (chyba nawet mieli jakieś drobne "tête-à-tête"), Hłasko miał w tych kręgach status półboga, więc i ja się przymierzyłam. Nie spodobało mi się. Pamiętam, że nawet bardzo nie. Dziś (tzn. od dawna) wiem, że się po prostu nie poznałam. Hłasko opisywał świat, jakiego nie znałam i nie chciałam znać. Na swoje usprawiedliwienie mam to, że miałam wtedy 20 lat. Ale przecież on też miał +/- 20 lat, gdy to pisał.

Więc miałam inną optykę. Na pewno byłam odczytana, bo książki są moją pasją odkąd nauczyłam się składać litery w słowa, a nawet wcześniej, bo czytała mi mama, a ja znałam na pamięć to, co mi czytała... Moim literackim idolem - całe moje życie a wtedy już od wielu lat, od 11-go roku życia, był Stanisław Lem. I Dostojewski. W liceum najbardziej lubiłam francuskich egzystencjalistów z Sartrem i Simone de Beauvoir na czele (hm, uważałam się za "egzystencjalistkę", nosiłam na czarno, *pod Jeanne Moreau*, "*ponurzyłam*" - od "*bycia ponurą*"...). Ale już w pierwszej klasie liceum czytałam "Złego" Tyrmanda, więc trochę tej literatury z czasów Hłaski znałam.

Drugą moją pasją było kino (i teatr, próbowałam dostać się do krakowskiej PWST, bez powodzenia wszakże, co nie było niczym szczególnym zważywszy, że ze mną zdawało 400 osób a było 20 miejsc, ale doświadczenie też było cenne, jednym z przygotowanych przeze mnie tekstów był fragment "Much" Sartre'a właśnie). Filmy na bazie opowiadań Hłaski znałam. O tym, że "Baza ludzi umarłych" też była *jego*, na pewno wtedy nie wiedziałam, nie znałam nikogo z "tamtych czasów", nie dochodziły do mnie tamte zakulisowe historie. Zresztą byłam o pokolenie młodsza i przeżywałam sprawy mojego pokolenia. Zresztą nie pamiętam. Ale pamiętam, że nawet Iredyński mnie nie zachwycał (moja przyjaciółka, która mnie zachwycała, Anna, była kilka lat starsza ode mnie). Nie za bardzo lubiłam też Janusza Głowackiego, choć "Polowanie na muchy" jak najbardziej widziałam, znałam... A już "Rejsem" zachwycałam się od pierwszego podejścia. Ale to praca zbiorowa.

Lecz tak całkiem szczerze to do dziś mam (czasami) mały kłopot z Głowackim. Nie duży, mały. W każdym razie mam kłopot z porównywaniem Hłaski do Głowackiego (czy odwrotnie). Hłasko to diament. Głowacki, przy całej jego sprawności językowej i poczuciu humoru to nie diament, może heban, ciemny i twardy? Ostatnio czytałam nawet jego książkę o tym jak pisał scenariusz do "Wałęsy" i znowu nie całkiem mi przypadło. Coś mi czasem

zgrzytnie... Jakaś maniera, za którą nie przepadam... No, tak...

Talent (wrażliwość, oryginalność, zmysł obserwacji, fantazyjność, ironia, poczucie humoru ("tak jak się ma absolutny słuch, ma się absolutne poczucie humoru", jak mówiła Sonja Ziemann) Hłaski widać już w jego pamiętniku [2], ale to wiem teraz. Dziś Hłasko jest u mnie w (moim) ścisłym panteonie (moich ulubionych) pisarzy świata. W 74 roku myliło mi się to, co opisywał, z nim samym (i chyba nie tylko mnie?).

<https://www.youtube.com/watch?v=6bALYUQ2F-c>

Za to moje drugie podejście było tym bardziej sukcesem. Basia Młynarska-Ahrens (siostra Wojciecha) mieszka od lat 70. w Bazylei a od 1986 roku prowadzi swój Klub Żywego Słowa Literacki Five O'Clock (przedtem zapraszała różnych artystów w ramach działalności tzw. Domu Polskiego w Zurichu). Wtedy, w tych 80. latach, to był dla Polaków w Szwajcarii często jedyny kontakt z kulturą polską.

Ja wtedy (na przełomie lat 80. i 90.) prowadziłam w Zurichu teatr sprowadzający małe formy teatralne z Polski. Nazywał się Teatr Nostalgiczny dla Każdego (nazwa była parafrazą, był bowiem "Teatr Magiczny Nie Dla Każdego" Hessego) i - oczywiście - nie miał swojego budynku, występował gościnnie na scenie teatru "STOK" założonego i prowadzonego przez Polaka, Zbigniewa Stoka, i Ericę Hänsler, mużę, aktorkę, scenografkę i partnerkę pana Zbigniewa.

Z Basią Młynarską poznałyśmy się, gdy wpadłam na pomysł zaproszenia do Zurichu Piwnicy pod Baranami. Było to w 1986 roku. Basia bardzo mnie wspierała. Gdyby nie ona, nie poradziłabym sobie. A udało się! "Piwnica" zawitała w Zurichu! Dzięki zorganizowaniu jej przyjazdu przez Andrzeja Nurkowskiego i jego zespołu tanecznego "Polanie". Zjednoczyliśmy siły: pomysł był mój, entuzjastyczne wsparcie i rada Basi "zaangażować w to Andrzeja!" strzałem w dziesiątkę, Andrzej zadbał o oficjalne zaproszenie, wynajęcie sali, domu noclegowego itd. - i... udało się! "Piwnica" wystąpiła z wielkim hukiem w Zurichu. Z hukiem, bo z poślizgiem. Zespół jechał przez Monachium i tam zabalował u Barbary Kwiatkowskiej-Lass i to tak, że zuryska publiczność już siedziała na sali i biła brawo na zachętę, a "Piwnicy" dopiero wyglądano na rogatkach Zurichu. [3]

Marek Hłasko w czasie swoich pobytów w Monachium odwiedzając swojego pracującego w Radiu Wolna Europa przyjaciela z Izraela, Henryka Rozpędowskiego, poznał także Barbarę Kwiatkowską, wtedy ex-żonę Polańskiego i żonę niemieckiego gwiazdora Karlheinz Böhma będącego u szczytu sławy po serii filmów o cesarzowej Sissi z młodzieńką Romy Schneider, z którym z kolei Sonja Ziemann grała w 1955 roku w także ulubionym przez publiczność niemieckojęzyczną (bo nie tylko w Niemczech, ale w Austrii i Szwajcarii) filmie "Ich war ein hässliches Mädchen" ("Byłam brzydka dziewczyną")...

<https://www.youtube.com/watch?v=t4ZnpqcO2Xg>

Zaraz po sławetnym występie "Piwnicy pod Baranami" w Zurichu, co miało miejsce w listopadzie '86, Basia Młynarska zaprosiła do Bazylei szwajcarską Polonię na inaugurację swojego Klubu Żywego Słowa. I tak 6 grudnia 1986 roku odbyło się spotkanie z Gustawem Holoubkiem, który odczytał członkom Klubu swój list do władz napisany tuż przed 13 grudnia i już *nie* odczytany władzom po 13 grudnia... A pisał o wolności słowa w sztuce. W roku 1986 był to wstrząsający dokument wstrząsająco trudnych czasów... Basia założyła swój Klub, a ja, gdy tylko mogłam, bo jednak sporo wyjeżdżałam, także do Polski, pisałam o kolejnych klubowych spotkaniach i sprowadzanych przez Basię spektaklach teatralnych (jako że Klub się szybko rozwinął i Basia zaczęła zapraszać z Polski całe wieloosobowe spektakle, a były to autentyczne uczyty).

<https://www.youtube.com/watch?v=tcyV2uZxorA>

Gdy ostatni raz byłam w Szwajcarii, w listopadzie zeszłego roku, umówiłyśmy się z Basią i Ewą Metelską, graficzką, malarką, twórczynią strony Klubu, że powstanie archiwum na stronie Klubu i będziemy go uzupełniać

tymi dawnymi tekstami, wywiadami i zdjęciami. Teksty o Agnieszce Osieckiej (mój) i Jeremim Przyborze (Ewy Cechnickiej), które można przeczytać na Sofijonie, są właśnie pierwszymi z tej serii. To wtedy Agnieszka Osiecka przedstawiała nam swoją książkę "Szpetni czterdziestoletni" a ja po jej przeczytaniu natychmiast zapragnęłam przeczytać do kompletu "Pięknych dwudziestoletnich". Bo już w 87 roku przeczytałam opowiadania Hłaski po niemiecku (wydanie z 78 roku, wydawca Heyne). Co tylko zdołałam dostać, to czytałam. Nawiasem, czytam (prawie) zawsze pakietami, *en bloc*, albo tematem, albo autorem. Wszystko.

W tym czasie znałam też już opowiadania Jana Himilsbacha, "Monidło" i "Przepychankę", a nawet samego Jana Himilsbacha, którego - wraz z poetą Romanem Śliwonikiem - poznałam w Polsce w 1978 roku. Jan Himilsbach [4] i jego kolega nad kolegi Zdzisław Maklakiewicz znali z kolei Marka Hłasko. W 1978 roku Zdzisław Maklakiewicz już nie żył, zmarł w wieku 50 lat w październiku 1977 roku. O ile Himilsbach z Maklakiewiczem wyglądali jak dwa Michały, jeden duży, drugi mały, o tyle Himilsbach i Śliwonik wyglądali razem jak Pat i Patachon, jeden był niski i krępy, drugi wysoki i cienki. Wtedy, gdy się poznaliśmy, Himilsbach był dość porządnie pijany i Śliwonik służył mu - jak tyczka - za wsparcie, sam już będąc (chyba?) na lekkiej bani. Co nie przeszkadzało im zrobić nam (mi, mojej przyjaciółce i siostrze) prywatnego fantastycznego spektaklu poetycko-literackiego... i podarować mi swoje książki z autografami, ale to już zupełnie inna historia.

Wracając do Marka Hłasko. Kolejny *szub* miałam pod koniec lat 90., gdy ukazały się wspomnienia (autobiografia) Sonji Ziemann i Henryka Rozpędowskiego właśnie, oraz pierwsza wersja biografii pióra kuzyna Marka, Andrzeja Czyżewskiego, "Piękny dwudziestoletni". Wtedy to ponownie "wrócił do mnie Hłasko"... W 2001 roku poznałam nawet we Wrocławiu reżysera Wiesława Saniewskiego. Było to na obchodach 40-lecia "Odry", na które byłam też zaproszona, bo właśnie opublikowałam tam swój wiersz, zresztą jeden jedyny w "Odrze". WS oprowadzał Sonję Z. po śladach Hłaski w Polsce, gdy kręcił film pod tytułem - *nomen omen* w kontekście tego akapitu - "Wracając do Marka". I też mi coś o tym opowiedział, może nawet zanotowałam to w swoim dzienniku (który prowadzę na wrywki, więc nigdy nie jestem pewna, co w nim mam, a co tylko myślę, że mam...).

Ale teraz do książki od p. Kapczyńskiej. Pani Janeczka Kapczyńska mieszkała w Szwajcarii od 44 roku. Uciekła wraz ze swoją siostrą (pewnie miała na imię Jadwiga, skoro taką dedykację napisał Hłasko? niestety, nie pamiętam... a może nawet nigdy nie znałam jej imienia?). Miały tzw. "dobry wygląd", były młode i miały *szczęście*. Janeczka już przed wojną skończyła prawo. Ich historia opisana jest w książce "Ten jest z ojczyzny mojej" (opr. Wł. Bartoszewski, Zofia Lewinówna).

Janina Kapczyńska (w książce jest Kapcińska i Kopcińska, więc pomyłka goni pomyłkę) nazywała się naprawdę Maria Rajbenbach. Może jeszcze gdzieś w papierach znajdę imię jej siostry, której nie znałam. Natomiast z Janeczką zaprzyjaźniłam się bardzo serdecznie wtedy, gdy zaczęłam prowadzić ten mój polski teatrzyk w Zurichu, zabieraliśmy (z moim mężem) panią Janeczkę naszym czerwonym alfa romeo kabrioletem, co niezmiennie ją cieszyło (nas też, i autko, i rozradowana jazdą pani Janeczka). Teatr STOK mieści się w maciupkim budynku przy ulicy Hirschengraben 42, tuż pod Uniwersytetem Zuryskim, pod, bo Zurich położony jest na wzgórzach i często od ulicy do ulicy wchodzi się po schodach, a nawet wjeżdża kolejką linową.

Na szczycie (tego) wzgórza górują nad miastem opasłe budynki Politechniki (ETH) i uniwersytetu (Uni ZH), poniżej biegnie ulica Hirschengraben a jeszcze niżej jest zuryskie stare miasto, rozciągające się po jednej i drugiej stronie rzeki Limmat wpadającej do jeziora, które z kolei kończy się panoramą Alp. Od strony uniwersytetu i politechniki starówkę przecina biegnąc równoległe do rzeki ulica Niederdorfstrasse przechodząca w Oberdorfstrasse. Nazwy są wspomnieniem czasów, gdy Zurich był miściną bardziej wiejską niż miejską i ludzie mówili na skupiska domów Dolna Wieś i Górna Wieś. A ulicą "Hirschengraben", co znaczy "Jeleni Rów", jelenie sunęły do położonego trochę wyżej lasu na rykowisko...

Ok, poniosło mnie, zostawmy jelenie... od dawna suną tu bezszelestne zuryskie trolejbusy i tramwaje. O przystanek, czyli lepiej, o rzut beretką od teatru STOK-a, jest - obok głównego muzeum, zwanego, "Kunsthau", "Domem Sztuki", główny teatr Zurichu o nazwie Schauspielhaus, "Dom Teatru" (nie Schauspielhaustheater, jak

jest w książkach o Hłasce, nie wiem, dlaczego tak jest). To w nim różnymi sezonami pracowała Sonja Ziemann, prywatnie *Frau Hlasko*. Tymi ulicami, uliczkami, zaułkami i schodkami musiał chodzić też Marek Hlasko...

...Przechodzić obok ogromnego gmachu biblioteki - Zentralbibliothek (też jednym bokiem przylegającej do Hirschengraben, choć teatr "STOK" jeszcze wtedy nie istniał, powstał w 1970 roku), żeby uczestniczyć w próbach żony (czasem nawet wtrącać swoje - cenne, jak napisała we wspomnieniach - uwagi) i w premierowych galach. Pewnie też przechodząc obok domu, niedaleczko, w którym mieszkał swojego czasu *Wladimir Iljicz Lenin z Nadieżdą Krupskąją*, bo państwo Ziemann-Hlasko mieszkali przy Niederdorfstrasse obok Hirschenplatzu, a o krok stamtąd mieszkał sam Lenin, przy Spiegelgasse 14, tyle że 50 lat wcześniej, tuż przed wybuchem Rewolucji, której osiągnięcia odczuł na własnej skórze pisarz. Sonja Ziemann wspomina, że miała blisko do teatru. Miała.

A ja dodam, że też przez pewien czas mieszkałam (z moim nowym ukochanym, który miał się stać moim mężem, a ja panią Binswanger) przy Niederdorfstrasse (róg Gräbligasse) i miałam blisko na uniwersytet, jako że wtedy studiowałam. Wcześniej zaś mieszkałam także po trochu w Berlinie Zachodnim, gdzie przeniosłam się na chwilę na uniwersytet w Berlinie (Freie Universität), żeby być bliżej mojego poprzedniego ukochanego, który mieszkał w Krakowie. No, takie życie, pełne zawijasów...

O istnieniu Janeczki Kapczyńskiej wiedziałam znacznie wcześniej, bo była tłumaczką - mówiła kilkoma językami - przy *Fremdenpolizei* (policji od cudzoziemców) dla ludzi proszących o azyl, a takich też znałam. W ogóle była bardzo młoda duchem. I była śmieszką. Zaczęłyśmy spotykać się prywatnie, ja wtedy 30+, ona mocno starsza pani, przeszłyśmy na "ty" i przyjaźniłyśmy się w najlepsze, a gdy umarła na przełomie tysiącleci, napisałam o niej wspomnienie - musi być spakowane w kartonach (po mojej przeprowadzce do Polski ciągle mam trochę książek i papierów w kartonach).

Nie wiadomo ile dokładnie miała lat, bo gdy organizowano jej i jej siostry ucieczkę miała zmieniane papiery. "Wszyscy" utrzymywali, że była starsza, niż podawała. Może. Nie pytałam jej o to, choć bardzo wiele rzeczy mi opowiadała (jak kiedyś odgruzuję swoje dzienniki, to pewnie się dowiem, co?). Ale nie o wojnie. Kiedyś zapytałam ją, czy nie chciałaby, żebym spisała jej historię wojenną - "*zanim umrze*" - tak sobie rozmawiałyśmy, zaśmiewając się zresztą, miała zmysł do "czarnego humoru", ale tu zaoponowała, nie chciała wracać myślami do tamtych czasów. Z siostrą uciekły z getta w kwietniu 43, 19 kwietnia wybuchło powstanie. W getcie zostali - i zginęli - ich rodzice. Ojciec był przemysłowcem (tak jest w "*Ten jest z ojczyzny...*").

Mieszkała przy Universitätstrasse 87, w samym centrum Zurichu (przy ulicy Uniwersyteckiej, kolejno w dwóch miejscach, pod nr 29 i 38., mieszkał swojego czasu James Joyce, a potem, potem, w "Orwellowskim" 1984 roku, dom w dom z Janeczką, moja rodzona siostra). Ja wielokrotnie zmieniałam adres, raz mieszkałam bardzo blisko pani Janeczki, innym razem dalej. Ale telefonowałyśmy do siebie regularnie. A wspólnym mianownikiem były książki. Ja coś pożyczałam jej, ona mnie. Przedyskutowywałyśmy przeczytane. Czasami ona odwiedzała mnie, ale częściej ja ją, a pod koniec jej życia już tylko ja ją, bo była bardzo krucha (miała osteoporozę, a potem też - raka). Czasami jakaś moja książka u niej wsiąkała, bo pożyczała komuś innemu... ale że była już wyczytana, nie było dramatu (choć jestem bardzo na książki "cięta" i potrafię wydobyć pożyczoną książkę z gardła, kiedyś jedną, a konkretnie "*Lesia*" Chmielewskiej, wydobywałam przez dwa lata, z powodzeniem, z francuskiego więzienia...).

Więc wsiąkały, ale pani Janeczka (w myślach i po jej śmierci zawsze nazywałam ją *panią* Janeczką) wynagrodziła mi to stukrotnie. Pod koniec swojego życia zaczęła mi swoje książki dawać na zawsze. Twierdziła, że już zaczyna się pozbywać rzeczy a u mnie jej książki będą się miały dobrze. I to jest fakt! Pilnuję nie gorzej niż Cerber. Dostałam od niej trochę książek polskich i niemieckich. Często z jakimś komentarzem, ale, cóż, nawet jeśli wtedy je pamiętałam, teraz mi je trudno zrekonstruować (trzeba zapisywać za pamięci). Mam od niej na przykład absolutny unikat, wspomnienia (po niemiecku oczywiście) jakiegoś Niemca z likwidacji getta, wstrząśniętego tym, co widzi, co przeżywa i w czym bierze udział, wydane w jakimś minimalnym nakładzie zaraz po wojnie (?). I trochę różnych dokumentów.

Pani Janeczka miała wiele kontaktów i знаła wielu ludzi, np. państwa Vincenzów, których poznał Marek Hłasko (przypominam sobie, że mieszkali też niedaleko p. Janeczki, na przedłużeniu Universitätstrasse, Winterthurerstrasse, ale mogę się mylić). Ja też ich chyba jeszcze poznałam na jakichś spotkaniach w Muzeum Polskim w Rapperswilu, a może tylko ją, bibliotekarkę? Nie wiem, czy było w tym 65 roku jakieś oficjalne spotkanie z Markiem Hłasko (przypominam, dedykacja jest z 29 maja 65), może podpisał tę książkę (Jadwidze) u kogoś w domu? Czy była przy tym pani Janeczka? Z pisma wnioskowałabym, że nie był całkiem trzeźwy, ale też mogę się mylić... Był wtedy przecież po pobycie w szpitalu. Na lekach. W sumie ten wątek "szwajcarski" chętnie bym jeszcze podrażyla.

Ale pewnie mało ludzi już żyje. Choć Sonja Ziemann tak(!), mieszka trochę w Niemczech a trochę w swoim domu w St. Moritz, Chesa Alva, w którym tak często bywał także jej mąż Marek, a także ich goście, Roman Polański - żyje przecież, kręci film za filmem - z Sharon Tate (no, ona, wiadomo...) i producent filmowy Gene Gutowski, jeden ze świadków na ślubie Marka i Sonji w Londynie 20 lutego 1961 roku. I on, rocznik 1925, żyje sobie... Gdy pomyślę, że Marek Hłasko (a wraz z nim jego dwaj przyjaciele Krzysztof Komeda i Marek Niziński) nie żyją już tak strasznie długo, całe moje dorosłe życie, w którym tyle się zdążyło wydarzyć, i mogliby nadal żyć - i tworzyć - to robi mi się tak strasznie żal, tak niewypowiedzianie żal, jakby dopiero co umarli...

No, a kolejny, trzeci już "czas Hłaski" mam teraz. A zaczął się od tego, że moja starsza siostra obchodziła 9 lutego 70. urodziny i zażyczyła sobie książkę "Ostatni tacy przyjaciele" Tomasza Lacha, bo właśnie była po lekturze ostatniego wydania "Pięknego...". Kupiłam, ale zanim jej wręczyłam, w trzy noce przeczytałam. No, i zaczęło się. Zaraz kupiłam tę książkę też dla siebie (jednak jestem strasznie chytra na książki) oraz - zachęcona przez siostrę - sprawiłam sobie nowe wydanie "Pięknego...". A jednak Hłasko ma szczęście. Mało kto ma takiego biografa (Andrzeja Czyżewskiego). Sumiennego, a zarazem życzliwego. Pamiętamy awanturę wokół biografii Kapuścińskiego... Nie podobała mi się właśnie dlatego, że była napisana niezyczliwie. Napisałam o tym aż 3 artykuły (raz, dwa, trzy, No 2. nawet przetłumaczono na hiszpański i jest w uniwersyteckim piśmie poświęconym Kapuścińskiemu)...

Jeśli chodzi jeszcze o moje osobiste "śladami" Marka Hłasko, to w 1974 a potem w 1979 roku przejeżdżałam (nie sama, raz we dwoje, raz w trójkę) Włochy "od Mediolanu po Sycylię", więc podobnie jak Hłasko, nie mówiąc o niezliczonych innych wypadach do Włoch (sama i w różnych konstelacjach uczuciowo-koleżeńskich). W 1976 roku byłam pierwszy raz w Stanach Zjednoczonych, za to pierwszy i ostatni raz od Pacyfiku po Atlantyk, w Los Angeles bawiłam się w willi na Beverly Hills u filmowca, który miał na imię Tracy na pamiątkę po ojcu chrzestnym Spencerze Tracy, który już nie żył, ale Kathariny Hepburn nie poznałam (nie poznaliśmy) tylko dlatego, że akurat chorowała. W willi obok mieszkał wtedy James Stewart. Z drugiej strony Lucy Ball. W Polsce mniej znana, ale w USA bardzo popularna z powodu częstych występów w telewizji. Liznęłam więc "prawdziwego" Hollywoodu.

Byłam też (niezapomniany raz) w Maison-Laffitte i poznałam Jerzego Giedroycia i panią Zofię Hertzową. Potem ponownie widziałam Jerzego Giedroycia na uroczystości przyznania mu doktoratu Honoris Causa Uniwersytetu Wrocławskiego (1998) w Paryżu, o czym pisałam do naszej polonijnej prasy w Szwajcarii. We Francji, w tym w Paryżu, byłam wielokrotnie, a także w Hiszpanii, w Madrycie,... w Grecji, na Korfu... Nigdy nie byłam w Jugosławii, nie dojechałam też do Izraela. Bardzo bym jeszcze chciała zobaczyć Jerozolimę... i "*maleńką mięscinę*", jak pisał Marek w liście do mamy, Ejlat (czy ciągle jeszcze jest maleńka?)...

Spotykałam też Marka Hłasko w dziennikach Moniki Żeromskiej, w autobiografii Romana Polańskiego i Gene Gutowskiego, we wspomnieniach Zofii Komedowej, w książeczce "Emigracji dzień pierwszy" Marii Lewińskiej, w niezbyt rzetelnych "Miłosnych grach Marka Hłaski" Barbary Stanisławczyk i jej "Matce Hłaski"... i oczywiście w opowieści o Marku Zyty Kwiecińskiej, kuzynki Marka. W kolejce czekają Dzienniki Jarosława Iwaszkiewicza, zamówiłam też "Był chamsin" Henryka Rozpędowskiego... Mówię językiem, którego on nie zdołał pokochać a ja tak, nawet bardzo, niemieckim, ale ja jestem pokolenie powojenne...

A, i dawno, dawno temu fotografowałam się pod krzyżami w Kazimierzu nad Wisłą (nieświadoma tego, że stali pod

nimi Marek Hłasko i Panna Czaczkes, czyli Agnieszka Osiecka). Zdjęcie otwierało swojego czasu "skandaliczną" wystawę Wenus 75 w Krakowie w Pałacu Pugetów... [5] Tematem na całkiem nową opowieść byłby alkohol, artyści i miłość... A zresztą, jak powiedział Henryk Dasko: *"Nie jest ważne, czy Hłasko pił dużo, czy mało, czy robił awantury, czy nie, ile miał kochanek - ważne jest to, co pozostawił w kulturze narodowej, ważny jest jego wkład w tę kulturę."* I niech na razie na tym pozostanie...

<https://www.youtube.com/watch?v=k0wWaNcadJk>

PS. I kilka lat temu byłam cały zimowy miesiąc w pałacu w Oborach, nikogo już tam nie było, tylko białe śniegi po pas, mój biały pies i ja... i obsługa... I cienie tych wszystkich, którzy się tam przewinęli, wśród nich błądy, daleki cień Marka Hłasko, a przecież mógłby żyć do dziś...

PS. PS. Szanowny Czytelniku, zwróć uwagę, że pogrubione wyrazy oznaczają podlinkowanie.